

Uczony w polityce**

W pytaniu „Czy badacz biorący udział w życiu politycznym, zwłaszcza jako członek partii, może «zawiesić» zasadniczy imperatyw ludzi nauki, którzy ci lubią głosić, tj. poszukiwanie prawdy” zawarte jest idealistyczne założenie, że „bycie człowiekiem nauki” jest powołaniem, czyli że naukowiec podlega wymogowi szczególnego sposobu życia i spełniania zobowiązań z tego powołania wynikających. Uważam jednak, że bycie człowiekiem nauki to taki sam zawód jak każdy inny, chociaż chcemy, aby wiązał się on z poznawczą pasją, a więc z posiadaniem tych szczególnych cech charakteru, które z pracownika naukowego czynią uczonego. Aby odpowiedzieć na postawione pytanie, warto więc zastanowić się, dlaczego uczeni wklajają się w działalność polityczną, jaka może być ich w polityce rola i do jakich skutków to wszystko może prowadzić. A ponieważ termin *polityka* obejmuje wiele znaczeń, podobnie zresztą jak i pojęcie *nauka*, więc ograniczę się jedynie od służby publicznej i działalności partyjnej w wolnym, demokratycznym państwie.

Czasami się zdarza, że uczonego podejmuje się publicznej funkcji, gdyż skłania go do tego poczucie obowiązku czy odpowiedzialności, gdyż jest przekonany, że szczególne kompetencje, wiedza lub umiejętności, które posiada, mogą okazać się przydatne w realizacji wspólnego dobra i znajduje do tego sprzyjające politycznie otoczenie. Wiąże się to z wiarą w zapomnianą już arystotelesowską zasadę, że, jak pisała Barbara Skarga „polityka jest działaniem wśród ludzi i dla ludzi, a nie dla władzy tej lub innej grupy”. Nie brak w historii naszej takich przykładów zwyciężonych sukcesem, choć więcej z nich zakończyło się klęską.

Ale znacznie częściej zaangażowanie w politykę wynika z własnego temperamentu i wiary w jakieś „jedynie słuszne” idee, z parcia do „władzy”, z konformizmu ideologicznego lub chęci osiągnięcia jakichś partykularnych interesów czy też leczenia kompleksów, choć znam też kilka dziwacznych sytuacji, gdy było motywowane ciekawością poznawczą. Być może, za wyjątkiem ostatniego przypadku, uczeni nie stanowią tu szczególnie odrębnej grupy.

Każdy obywatel, a więc i uczonego, może i ma prawo wypowiadać się w sprawach publicznych, co stanowi kwestię jego osobistego wyboru, chociaż nie zawsze jest to mądre czy potrzebne – to osądzają inni. Ale należy postawić pytanie, czy jest możliwym, aby uczonego, reprezentujący racjonalną wiedzę, wchodząc na drogę zorganizowanej, partyjnej aktywności politycznej, która zazwyczaj wymaga ideologicznej dyscypliny, kierował się nadal zasadami, na których oparty jest system nauki? Czy nie powoduje to nieuchronnie powstania nieprzezwyciężalnego konfliktu? Jeżeli odrzucimy niechlubne przypadki różnego typu „światopoglądów naukowych”, czy dopuszczamy możliwość przełączania sposobu analizy rzeczywistości, w chwili gdy zza katedry przechodzi się na mównicę? Odpowiedź na to pytanie, które raczej powinno być skierowane do psychologa, leży poza zakresem mojej kompetencji, ale ujawnienie takiego rozdwojenia jaźni głęboko razi moje poczucie estetyki i pod znakiem zapytania stawia wiarygodność uczonego.

* Prof. dr hab. Maciej W. Grabski, członek korespondent PAN, Politechnika Warszawska.

** Wystąpienie na konferencji KEN PAN pt. *Uczony, Nauka, Polityka*, Warszawa, 17 kwietnia 2008.

Kiedys ująłem to następująco: „Zajmowanie się nauką zmusza do zachowania racjonalnej, krytycznej postawy nie tylko w ramach uprawianej dziedziny, ale również wobec całej otaczającej nas rzeczywistości. Nie można bowiem być naukowcem tylko na użytek swojego laboratorium, a przestawać nim być na ulicy czy na forum publicznym”. A w takim razie, gdzie jest granica, której nie powinno się przekraczać, a jeżeli to nastąpi, to czy oznacza, że człowiek traci te cechy, które decydują o tym, że jest uczonym? I co właściwie z tego wynika?

Największe zagrożenie dla sumienia uczonego wklajającego się w partyjną działalność stanowi motywacja ideologiczna, gdyż sprowadza ona z drogi racjonalnego myślenia – tłumiąc reguły wykształcone w metodzie naukowej i zastępując je wiernością ideologii obowiązującej w partii. Prowadzi to łatwo do sytuacji, że każdy, kto reprezentuje inne zdanie, przestaje być traktowany jako oponent czy przeciwnik, którego trzeba przekonać do swoich racji, lecz jako wróg, którego należy unicestwić. Poznaliśmy takie patologiczne sytuacje w nie tak odległych czasach i choć to wydaje się dziwne, występują one również w wolnych społeczeństwach, na szczęście, jak dotąd, w znacznie łagodniejszej formie.

Stosunki między uczonymi i politykami są pełne ogromnych wewnętrznych napięć. Z jednej strony uczeni zwykle traktują polityków z pogardliwą wyższością (i niewątpliwie w wielu przypadkach jest to uzasadnione), a z drugiej strony niecierpliwie poszukują dla siebie miejsca w orszaku władzy, bo ta, nawet pogardzana, jednak imponuje. Z kolei politycy widzą w uczonych zwykle zrzedliwych mądrali domagających się wciąż uznania oraz bezwarunkowego finansowania (co też jest niepozbawione racji), ale równocześnie potrzebują ich zarówno jako dekoracji, jak też i punktu oparcia dla swojej niepewności. Każda władza wymaga orszaku, który przysparza jej blasku. Ale blask ten światłem odbitym podnosi również odczucie własnego znaczenia u tych, którzy do orszaku dołączyli, dając im złudzenie, że mają wpływ na bieg rzeczy. Naukowcy często zajmują tam równe miejsce ze znanymi aktorami, lekarzami, sportowcami i innymi rozpoznawalnymi publicznie twarzami czy nazwiskami, biorąc udział w spektaklu, mającym na celu skołowanie społeczeństwa, bo autorytet społeczny profesora wciąż jest jeszcze wyższy niż polityka. Ktoś, kto zgadza się na taką dla siebie rolę, akceptuje tym samym wynikające z niej konsekwencje. Ale z polityką ma to niewiele wspólnego.

Zanurzający się w świecie polityki uczeni zazwyczaj nie są świadomi istniejących pułapek, ufając potędze swojej intelektualnej wyższości. Styk świata nauki i polityki to jednak niezwykle grząski teren. Toteż niezwykle łatwo stają się oni ofiarami czy narzędziami w rękach polityków. Jest tak dlatego, że między nauką i polityką istnieje, i zawsze będzie istniał, konflikt, ponieważ mamy tu do czynienia z dwiema całkowicie niekompatybilnymi, choć wzajemnie niezbędnymi strukturami. W systemie demokratycznym władza oparta jest bowiem na argumentie większości, natomiast nauka z natury nie jest demokratyczna, gdyż o prawdzie naukowej rozstrzyga nie głosowanie, ale sprawdzalny empirycznie dowód. W nauce panuje też zupełnie inny sposób widzenia celów oraz odmienna hierarchia wartości. Dlatego dla osoby porządnie wykształconej w jednym z tych dwóch systemów drugi z nich pozostanie niezrozumiały czy nieczytelny, a próby pomieszania nauki z polityką lub ideologią zawsze kończą się dla nauki wstydliwą porażką.

Droga osiągnięcia pozycji w nauce i w polityce jest całkowicie odmienna, wymaga bowiem różnego przygotowania zawodowego i wykształcenia różnego sposobu analizy rzeczywistości. Jak się zostaje naukowcem, wiemy, nie będę więc tego wątku tutaj rozwijał. Jak się zostaje polity-

kiem, jest mniej jasne. Najpowszechniej następuje to poprzez autonominację i selekcyjny mechanizm wyborów, przy czym przyjęty u nas system głosowania na partyjne listy całkowicie tę drogę degeneruje. Można też kupić miejsce na liście wyborczej, płacąc swoim pozapolitycznym autorytetem, medialną popularnością czy też pieniędzmi. Można również trafić do polityki poprzez mianowanie albo nawet oszustwo wyborcze – względnie poprzez kombinację tych wszystkich dróg. To w niczym nie przypomina akademickiej kariery.

Kwalifikacje zapewniające sukces w polityce są też skrajnie odmienne od tych, których wymaga budowanie autorytetu w nauce. Główną z nich nie jest wcale wysokie wykształcenie, mądrość czy racjonalna dociekliwość, lecz wycucie dynamiki społecznej, instynkt w podejmowaniu prawidłowych decyzji w oparciu o cząstkowe dane oraz spryt i skuteczność działania prowadzące do zdobycia i utrzymania władzy. To wszystko musi być wsparte wielomównością i umiejętnością oddziaływania na wyborów. Człowiek działający w taki sposób w nauce szybko by skończył (a w każdym razie powinien skończyć) jako hochsztapler. W polityce natomiast o takim mówi się, że ma charyzmę.

Przekonanie zarówno polityków, jak i naukowców o wymienności swoich ról odzwierciedla jedynie ich bardzo wysokie mniemanie o sobie. Wyobrażenie, że ktoś będzie sprawnym politykiem, gdyż wyróżnia go tytuł profesorski, jest jednakowo śmieszne, jak twierdzenie, że były minister dysponuje jakąś ukrytą mądrością dająca mu profesorskie kwalifikacje. Bardzo mnie kiedyś rozśmieszyło zdanie wypowiedziane przez pewnego rektora zacnej zresztą uczelni, że bycie rektorem stanowi wystarczającą kwalifikację do zostania premierem. W rzeczywistości udane transfery między polityką i nauką można policzyć na palcach jednej ręki, a w starych, stabilnych demokracjach takie transfery od dawna nie mają już miejsca. U nas natomiast wciąż jeszcze uważa się, że ministrem nauki powinien być profesor, ministrem edukacji – dyrektor szkoły, a ministrem zdrowia – ordynator szpitala lub co najmniej lekarz. Ale już zrozumiano, że za resort obrony ma odpowiadać polityk, a nie generał, oraz że wielką firmą zazwyczaj skuteczniej zarządzi manager spoza branży niż wewnętrzny fachowiec.

Często słyszę narzekania, że w strukturach politycznych w Polsce jest zbyt mało przedstawicieli społeczności naukowej. Ale wcale nie uważam, że to jest złe. Co więcej, trudno napotkać wśród nich uczonych w pełnym znaczeniu tego słowa, co mnie zresztą nie dziwi. Napisałem kiedyś, że „społeczność naukowa” jest mniej więcej takim samym mitem jak „klasa robotnicza”. Tym, co nas naprawdę łączy w znacznie mniejszym stopniu stanowi idea nauki i wspólnie wyznawany system wartości – gdyż już od stulecia wzajemnie się nie rozumiemy – ale walka o pieniądze, przywileje i wpływy. Tym, co dzieli, to tych pieniędzy i przywilejów podział. Ludzi, którzy potrafią patrzeć na naukę w jej całości ponad wydziałowymi uwikłaniami i dyscyplinowymi nawykami, mamy wśród nas bardzo niewiele. Ponadto polscy uczeni z zasady zupełnie nie rozumieją związków istniejących pomiędzy nauką i państwem, jakie wykształciły się na świecie w ciągu ostatniego półwiecza, co ogromnie utrudnia im prowadzenie aktywności politycznej na rzecz nauki. Niestety w naszym kraju deficyt mężów stanu dotyczy nauki tak samo, jak i polityki. Dlatego też pilne zadanie zmodernizowania systemu nauki w Polsce przez samą „społeczność naukową” (a więc od wewnątrz) jest praktycznie niewykonalne.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego politycy potrzebują uczonych. Władza, nawet ta najbardziej zadufana w sobie, potrzebuje jednak ekspertów i doradców – co dla uczonych stano-

wić powinno naturalny i bardzo ważny obowiązek wobec świata polityki. Ale tkwi w tym pułapka, gdyż zapotrzebowanie polityki na naukowe argumenty zwykle jest dosyć szczególnego rodzaju, wynika bowiem często z wykorzystywania koncepcji naukowych i wyników badań w taki sposób, aby stanowiły one uzasadnienie dla własnych, nieraz ukrytych zamysłów. Przykładów jest wiele, że wymienię tylko ekologię, biotechnologię, alternatywne źródła energii czy wreszcie badania społeczne, a również i historię. Politycy bowiem wiedzą doskonale, że każdej ekspertyzie czy opinii można zawsze przeciwstawić równą co do siły oddziaływania, ale przeciwnie skierowaną kontrekspertyzę. Poszukują w tym celu partnerów w świecie nauki. Niestety zawsze się znajdują w społeczności naukowej tacy, którzy ochoczo, a czasami nawet z ideowym przekonaniem, dają się zaprząć w wykorzystywanie kontrowersji i niepewności nauki w procederze politycznych rozgrywek.

Polityka i nauka to różne byty i różne zawody. Jeżeli uczoney chce się zajmować polityką, to jest jego sprawa, ale jeżeli nadal chce pozostać uczonym, to musi sobie zawsze zadawać pytanie, gdzie istnieje granica, której przekroczenie wiąże się ze zdradą sumienia lub oszustwem. Trzeba wiedzieć, co się robi, i trzeba znać cenę, jaką za to można zapłacić, szukając trudnego kompromisu między dwiema sprzecznymi zazwyczaj racjami. Ponadto autentyczne i uczciwe zaangażowanie się w politykę, podobnie jak i praca naukowa, wymaga poważnego traktowania swojego zawodu, a więc pełnego mu poświęcenia, dlatego nie wierzę, aby można było być RÓWNOCZEŚNIE dobrym uczonym i sprawnym działaczem politycznym.

Konkludując, można stwierdzić, że w stosunkach pomiędzy politykami i naukowcami ci ostatni stoją z zasady na straconej pozycji – gdyż są wykorzystywani zazwyczaj nie dzięki swej wiedzy, lecz jako celebryci. Żałosne widowisko rozpoczyna się wtedy, gdy uczeni, angażując się w akcjach typu politycznego, używają swojego nazwiska do popierania czy zwalczania jakichś koncepcji poza zakresem swojej kompetencji, zwykle nie mając o nich pojęcia lub nawet ich nie rozumiejąc – gdyż poniewierają w ten sposób nie tylko swój naukowy autorytet, ale podważają też wiarygodność całej nauki. Aktualnie mamy takich przypadków zbyt wiele, chociaż dotyczą one stosunkowo niewielkiej grupy osób, głównie związanej z naukami społecznymi, i dlatego nie wydaje mi się, aby czynne polityczne zaangażowanie uczonych tworzyło w Polsce jakiś szczególnie problem czy to dla polityki, czy też dla samej nauki.

Scientist in politics

Threats facing the research scientist entering the world of practical politics and party activity are discussed. It is difficult to mix a scientific career with a leadership role in politics because of the profound differences in values. The qualifications and professional training needed is also completely different. The main problem arises when the conflict exists between scientific and political approach to the complex problems. This can invoke the serious moral conflicts between party discipline and scientific honesty. Being a research scientist and a politician are both full-time jobs and one cannot responsibly combine both types of careers.

Key words: science, politics